



■ 53. Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa - pytania i odpowiedzi

Jadwiga Kiwerska

Odbywająca się corocznie w lutym Monachijska Konferencja Bezpieczeństwa (*Munich Security Conference - MSC*) uznawana jest w środowisku specjalistów za najważniejsze forum dyskusji o bezpieczeństwie światowym, wyzwaniach i zagrożeniach dla porządku globalnego i regionalnego, wreszcie o perspektywach i kierunku rozwoju sytuacji międzynarodowej. Jej renoma powoduje, że do stolicy Bawarii zjeżdżają się przywódcy wielu państw, szefowie resortów obrony i spraw zagranicznych reprezentujący większe i mniejsze państwa, ważni politycy, czołowi eksperci i analitycy, wreszcie szeroka rzesza dziennikarzy. Niewątpliwie uwaga politycznego świata oraz mediów zwrócona jest w tym czasie ku Monachium w oczekiwaniu, że padną tam ważne słowa i deklaracje, nakreślone zostaną kierunki polityki, a nawet zaproponowane rozwiązania różnych problemów.

To w stolicy Bawarii amerykański wiceprezydent Joseph Biden w 2009 r. ogłosił *reset* w stosunkach z Rosją, co - jak można się było wkrótce przekonać - nie stało się tylko zgrabnym sloganem, ale zapoczątkowało trwające długie miesiące i w sumie zakończone porażką próby „ułożenia się” z Rosją. Wprawdzie udało się podpisać nowe porozumienie *START*, poważnie zmniejszające limit amerykańskich i rosyjskich głowic nuklearnych, jednak decydując się na daleko idące ustępstwa wobec Rosji w ramach polityki „resetowania” stosunków, administracja Baracka Obamy zapłaciła wysoką cenę - Rosja przystąpiła do realizacji swych neoimperialnych celów.

Wcześniej w 2007 r., także w Monachium, prezydent Władimir Putin, występując niezwykle wojowniczo, niedwuznacznie dał do zrozumienia, jakie są cele jego polityki zagranicznej. Wówczas atak rosyjskiego przywódcy na Stany Zjednoczone, które

Redakcja:

Radosław Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 293/2017
21.02.17

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

oskarżył o łamanie prawa międzynarodowego, poszerzanie swojej strefy wpływów poprzez przyjmowanie nowych państw do NATO oraz przez plany instalowania w Europie Środkowo-Wschodniej „tarczy antyrakietowej”, padł na podatny grunt - niechęć wobec administracji George’a W. Busha była dość powszechna. Ale już rok później, w sierpniu 2008 r., dokonując agresji na Gruzję i anektując Osetię Południową oraz Abchazję, strona rosyjska rozpoczęła swój marsz ku odbudowie imperium.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym wydarzeniu z Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. To tutaj amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld w lutym 2003 r. powtórzył wobec szerokiego audytorium swą wcześniejszą, wyrażoną półoficjalnie opinię o tzw. nowej Europie - zdecydowanie przyjaznej Ameryce, składającej się głównie z państw byłego bloku radzieckiego i przeciwstawił ją „starej Europie” - nieprzychylniej wobec Stanów Zjednoczonych i jakby pozbawionej woli działania. Wypowiedź ta, nie tylko wywołała ostrą reakcję niektórych uczestników MSC - doszło wręcz do sporu z niemieckim szefem dyplomacji Joschką Fischerem - ale też zachwiała silnie układem transatlantyckim, gdyż niejako poza nawias postawiono Francję i Niemcy, a europejski środek ciężkości przesunięto na wschód kontynentu. Jakkolwiek opinia Rumsfelda okazała się zaledwie krótkotrwałym sloganem, podobnie jak nie zapadło w pamięć wiele innych wydarzeń z Monachium, to jednak ranga spotkania w stolicy Bawarii pozostaje niekwestionowana.

Szczególnie wielkie są oczekiwania w momentach przełomowych, gdy ważą się losy bezpieczeństwa i porządku międzynarodowego lub niezbyt jasno, czasami wręcz groźnie rysują się plany i zamierzenia przywódców ważnych państw. Z taką sytuacją mamy do czynienia obecnie - świat stoi przed ogromnymi wyzwaniami i problemami. Z jednej strony Rosja zdołała już zademonstrować swe aspiracje neoimperialne, których ofiarą padła Ukraina, a ekspozycją stała się Syria, z drugiej zaś - po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych stoi pod wielkim znakiem zapytania. Jest ona nie tylko trudna do przewidzenia, ale - biorąc pod uwagę wcześniejsze, izolacjonistyczne deklaracje nowego prezydenta Donalda Trumpa - jej perspektywy mogą być dla Europy i ładu światowego groźne. Uwagę społeczności międzynarodowej konsekwentnie absorbuje też zagrożenie terrorystyczne i jego bardzo niebezpieczna emanacja - „Państwo Islamskie”. Również Europa/Unia Europejska znalazła się w tak trudnej sytuacji, że przyszłość projektu europejskiego stała się wielką niewiadomą.

Te oraz inne tematy znalazły się na agendzie tegorocznej konferencji monachijskiej (17-18.02.2017). Zgromadziła ona aż 25 szefów państw i rządów, ale niewątpliwie najważniejszym jej uczestnikiem był amerykański wiceprezydent Michael Pence, którego słów słuchano z największą uwagą, starając się dociec, jaki będzie rzeczywisty kształt amerykańskiej polityki zagranicznej i czy wcześniejsze zapowiedzi Trumpa nie staną się faktem. Oceniając wystąpienie wiceprezydenta pod tym kątem, można powiedzieć, że starał się on uspokoić europejskich sojuszników. Podobnie jak trzy dni wcześniej, na spotkaniu z szefami resortów obrony państw członkowskich NATO zrobił to amerykański sekretarz obrony James Mattis, zapewniając o „fundamentalnym” znaczeniu Sojuszu Atlantyckiego i trwałości amerykańskich zobowiązań wobec niego (deklaracje te Mattis powtórzył w Monachium), także Mike Pence stawiał sprawę jednoznacznie.

Zapewniał „w imieniu prezydenta Trumpa”, że Stany Zjednoczone silnie wspierają NATO i „będą niezachwiane (*unwavering*) w swych zobowiązaniach wobec sojuszu transatlantyckiego”. Z jednej strony taka deklaracja z ust amerykańskiego wiceprezydenta powinna osłabić napięcie niepewności wśród europejskich sojuszników, którzy wcześniej słyszeli od kandydata Trumpa, że NATO jest „przestarzałą” (*obsolete*) instytucją. Z drugiej strony było w tym coś niesłychanego, że trzeba było mówić o sprawach, które przez tyle dziesięcioleci pozostawały imperatywem amerykańskiego i europejskiego bezpieczeństwa - o obecności i zobowiązaniach Stanów Zjednoczonych jako głównego filara NATO. Kiedyś brzmiałoby to banalnie i byłoby zwykłą retoryką, dzisiaj stało się niemal głównym przesłaniem konferencji w Monachium.

Pytaniem pozostało natomiast, w jakim stopniu deklaracje Pence’a są wiarygodne i będą realizowane. Wszak trzeba uwzględnić fakt, że decyzje finalne będzie podejmował prezydent Trump, którego przewidywalność i kompetencje nadal budzą zatroskanie i o którym krytycznie w Monachium wypowiadał się nawet przedstawiciel Partii Republikańskiej i niekwestionowany autorytet w kwestiach bezpieczeństwa senator John McCain. Argumentem dla obecnej administracji, podobnie zresztą jak było to już wcześniej, jest niewątpliwie kwestia podziału obciążeń finansowych w ramach Sojuszu. Nie tylko sekretarz obrony Mattis w Brukseli, ale również wiceprezydent Pence w Monachium postawili problem *burden sharing* niedwuznacznie, w przypadku szefa Pentagonu uzależniając skalę zaangażowania USA od przedstawienia do końca roku planu, w jaki sposób państwa członkowskie zamierzają zrealizować zobowiązanie przeznaczenia 2 proc. PKB na obronność.

Jakkolwiek świadomość podjęcia tego wyzwania jest w Europie coraz większa - zahamowano, a nawet odwrócono trend spadkowy w nakładach na obronę - to jednak pełna realizacja postulatu *burden sharing* zajmie czas jakiś. Nawet kanclerz Angela Merkel, występując w Monachium, mogła powiedzieć, że Niemcy trwają przy podjętym zobowiązaniu, ale bez konkretów (obecnie przeznaczają na obronność zaledwie 1,19 proc. PKB). Odnosząc się zaś do relacji Europy ze Stanami Zjednoczonymi, szefowa niemieckiego rządu dowodziła ich znaczenia. „Wyzwaniom współczesnego świata nie podoła żadne państwo w pojedynkę. Potrzebujemy wspólnego wysiłku. (...) Także Europa boryka się z islamskim terroryzmem. Także my potrzebujemy wsparcia Stanów Zjednoczonych. Potrzebujemy amerykańskiej siły militarnej” - przekonywała w Monachium kanclerz Merkel.

Nawiązywała tym samym do przewijających się w debatach na forum konferencji monachijskiej sugestii o konieczności uniezależnienia się Europy od Ameryki, stawiania przede wszystkim na siebie. Parafrazowano przy tym hasło wyborcze Trumpa, apelując: „Make Europe Great Again”. Autorzy takiej koncepcji, nie nowej zresztą, dysponowali ważkim jej uzasadnieniem, wynikającym tym razem z obaw o kształt polityki administracji Trumpa - nowy niemiecki minister spraw zagranicznych Sigmar Gabriel przekonywał, że „trzeba mieć nadzieję, ale musimy być przygotowani na najgorsze” ze strony Waszyngtonu. Hasło „liczenia na siebie” pozostało jednak na marginesie dominujących nastrojów w Monachium - większość przywódców oraz wypowiadających się polityków nie miała wątpliwości, że degradacja układu transatlantyckiego miałaby zgubne konsekwencje zarówno dla jego europejskiego, jak i amerykańskiego członka. Zaś problem związany z prezydentem Trumpem polega głównie

na tym, że uświadomił on Europejczykom ich słabość w zakresie bezpieczeństwa. Powinno to działać mobilizująco na wspólnotę europejską.

Chociaż temat trwałości więzi transatlantyckich w nowej rzeczywistości politycznej przeważał w debatach konferencji monachijskiej, to jednak wątkiem niemal wszechobecnym była Rosja, cele jej polityki i odpowiedź na nią Zachodu. Wiceprezydent Pence, w odróżnieniu od pamiętnego wystąpienia Bidena w 2009 r., nie zaproponował żadnej zgrabnej frazy, która miałaby kształtować amerykańską politykę wobec Moskwy. Pozostał przy ogólnych stwierdzeniach, że istnieją obszary wymagające współpracy amerykańsko-rosyjskiej oraz problemy sporne, choćby odpowiedzialność Rosji za sytuację na Ukrainie. „Będziemy rozliczać Rosję z działań na Ukrainie” - mówił Pence. Porównując wystąpienie wiceprezydenta z opiniami na temat Rosji i Putina, wygłaszanymi w czasie kampanii wyborczej przez Trumpa, to niewątpliwie teraz było już więcej realizmu w ocenie działań Moskwy. Choć zdawkowość wypowiedzi Pence’a stanowiła swego rodzaju asekurację, aby nie narazić się na krytykę, że nowa administracja pozostaje pod urokiem skutecznego i silnego przywódcy Rosji, z którym zamierza się układać, ale też zbytnio nie zirytować Moskwy.

Znacznie więcej i dobitniej mówiła o Rosji kanclerz Merkel, czyniąc ją niemal głównym tematem swego wystąpienia. Przyznając, że po okresie zimnej wojny nie udało się ułożyć dobrych stosunków z Moskwą, podtrzymała tradycyjną linię polityki niemieckiej, że z Rosją trzeba utrzymywać kanały komunikacyjne, choćby w ramach Rady Rosja - NATO. „Będę dalej poszukiwała sposobów zbudowania lepszych relacji z Rosją mimo naszych różnic w podejściu do wielu problemów” - zapewniała Merkel. Nie zawahała się jednak przypomnieć, że to Rosja naruszyła integralność terytorialną Ukrainy i to ona jest odpowiedzialna za brak stabilnych relacji świata Zachodu z Rosją.

Przywoływana wielokroć Rosja wypowiedziała się w Monachium zdecydowanie i mocno. Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, w odróżnieniu od swych adwersarzy, w tym wiceprezydenta Pence’a, przedstawił jasno zarysowaną wizję porządku światowego. Uznając NATO za relikwiny zimnej wojny, szef rosyjskiej dyplomacji zaproponował wprost ustanowienie „demokratycznego porządku światowego - postzachodniego, w którym będzie respektowana suwerenność każdego państwa (sic!)”. Były to mocne słowa, dowodzące poczucia siły i możliwości państwa, które niemal odzyskało swój imperialny potencjał i po chwilowym ostracyzmie na arenie międzynarodowej powróciło już do pierwszego szeregu mocarstw decydujących o świecie. To poczucie odzyskanej rangi zabrzmiało jeszcze wyraźniej, gdy minister Ławrow zaproponował Stanom Zjednoczonym nawiązanie stosunków „pragmatycznych, z wzajemnym respektem i świadomością naszej wspólnej odpowiedzialności za porządek globalny”. Wprawdzie wiceprezydent Pence już nie odniósł się do propozycji Ławrowa, ale niewątpliwie oferta ta dotarła do Waszyngtonu.

Oceniając z perspektywy optymisty obrady w Monachium można uznać, że przyniosły one odpowiedź na ważne pytanie: nowa administracja amerykańska potwierdziła zobowiązania Stanów Zjednoczonych wobec europejskich sojuszników. Sojusz transatlantycki miałby pozostać istotnym punktem odniesienia dla polityki Waszyngtonu. Także strona europejska silniej niż wcześniej zademonstrowała swą odpowiedzialność w ramach Sojuszu Atlantyckiego.

Pesymista natomiast zwróciłby uwagę, że wystąpienie wiceprezydenta Pence'a, oprócz deklaracji w sprawie NATO i trwałości więzi transatlantyckich, nie niosło żadnego przesłania na przyszłość. Zabrakło odpowiedzi na pytanie o amerykańską strategię wobec najważniejszych wyzwań współczesności. Widać było, że administracja Trumpa nie wypracowała jasnej koncepcji swej polityki zagranicznej. W przeciwieństwie do Rosji, której szef dyplomacji nie miał oporów, aby przedstawić w Monachium swą kontrowersyjną i w gruncie rzeczy antyzachodnią wizję porządku światowego.

Swego rodzaju stałym punktem w tym rozwibrowanym świecie pozostały Niemcy, których polityka zagraniczna jest konsekwentna - zarówno w odniesieniu do Rosji, jak i w przywiązaniu do wspólnoty transatlantyckiej. Potwierdziła to kanclerz Merkel w Monachium.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Europejskiej Wyższej Szkoły Biznesu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.